

„Lubię dotykać wielu rzeczy i spraw”

# Aktorka renesansowa

Rozmowa z Krystyną Jandą

- JEST pani uznana za najlepszą polską aktorkę ostatniego półwiecza. Jak się pani czuje w zaszczytnej roli pierwszej damy współczesnego polskiego kina?

- Myślę, że po 20 latach pracy po prostu jestem dobrym rzemieślnikiem i sądzę, że wiele się nauczyłam. Tu naprawdę nie ma żadnych cudów. Przez 20 lat pracuję równo, systematycznie i większość rzeczy „wychodzi” na światło dzienne. A czy liczy się tu talent? Przecież większość moich kolegów jest naprawdę utalentowana i nie może się przebić przez gąszcz artystycznych wydarzeń.

Sądzę, że przyczyna sukcesu tkwi gdzieś indziej: albo się wchodzi w określoną konstelację ludzi i dostaje taki temat, który przyciąga uwagę bardzo wielu, albo otrzymuje się role w sztukach, które interesują tylko niewiele osób.

A jak się czuje po tym wyróżnieniu? Myślę, że było to obdarzenie mnie szczególnymi względami i było dane nie tyle przez publiczność, co przez 250-osobową środowiskową komisję. Oczywiście, że czuję się nadzwyczajnie usatysfakcjonowana, a także uradowana, że taka nagroda spotkała mnie jeszcze za życia... W dalszym ciągu jednak uważam, że otrzymałam ją nie tyle za to, jaką jestem aktorką, ale za to, w jakich filmach zdołałam zagrać. A ja miałam to szczęście, że przede mną „ważni” reżyserzy, w „ważnym” momencie mogli wypowiedzieć „ważne” sprawy. A ja umiałam wykorzystać tę szansę. To wszystko.

- Drugą ścieżką pani życia, od nie tak dawna, jest praca reżysera. Co spowodowało, że zajęła się pani drugim zawodem?

- Zaczęło się od przypadku. Po prostu mój dyrektor, gdy doszło już do wyboru sztuki „Na szkle malowane”, zdecydował, że to ja będę reżyserowała to przedstawienie.

- Od premiery sztuki Ernesta Brylla „Na szkle malowane”, którą wystawiał warszawski Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera, minęły ponad 3 lata. Jakie prace udało się pani zrealizować w tym czasie?

- Zrobiłam trzy duże sztuki w Teatrze Telewizji i film. W tej chwili jestem w trakcie pracy nad nowym spektaklem teatralnym „Panna Tutli-Putli” Witkacego.

- Jak na trzy sezony to bardzo dużo.

- Tak. To był bardzo intensywny okres w moim życiu, bo w tym samym czasie grałam i gram nadal w Teatrze Powszechnym i w Teatrze Te-

lewizji. Dużo jest też zróżnicowanie tych sztuk: od „Na szkle malowane”, poprzez Heddę Gabler, „Cyda” po „Tristana i Izoldę”. A wcześniej był mój film „Pestka”.

- Skąd pani zainteresowanie tak różnorodnymi gatunkami twórczości?

- Lubię dotykać się wielu rzeczy i spraw, szczególnie nowych. Tak było i wcześniej, gdy koncentrowałam się wyłącznie na pracy aktorskiej. Choć przyznam, że to nie zawsze były zupełnie świadome wybory. Widocznie taka jest moja cecha charakteru: poszukiwanie. Natomiast chcę powiedzieć, że mimo iż jestem związana z filmem i telewizją, zawsze staram się jak najwięcej grać w teatrze. Cenię sobie żywy i bezpośredni kontakt z widzami.

- Czy już wcześniej interesowała się pani pracą reżysera?

- Przez ponad 20 lat mojej pracy starałam się być aktorką „świadomą”, to znaczy, zawsze starałam się w pełni dociec, dlaczego jakąś postać należy grać tak, a nie inaczej, biorąc oczywiście pod rozwagę propozycje i uwagi reżysera. Interesowało mnie to, dlaczego właśnie reżyserzy podejmują takie decyzje, a nie inne. Był też i inny powód. Przekroczyłam 40 lat życia, a dla aktorki jest to bardzo trudny moment. A poza tym, bardzo chciałabym mieć jakąś furtkę i przestrzeń, gdzie mogę o czymś decydować sama, naprawdę sama. Ciągłe przychodzą młodzi reżyserzy i w pierwszym zdaniu mówią „No to teraz ja panią zmienię” albo „Teraz pani pokażę, jak trzeba”. Ja oczywiście to szanuję. Myślę, że tak musi być, że powinienam spotykać się i zderzać z ludźmi, którzy chcą mi wskazać coś nowego, ale jednocześnie chciałabym też o czymś sama decydować.

- W TVP zakończyła pani pracę nad „Tristanem i Izoldą”. Czy jest pani zadowolona?

- Trudno mi mówić obiektywnie o tym co robię, ale myślę, że spektakl powinien się podobać. Jest bardzo piękny tekst napisany przez Ernesta Brylla. Napisał go za moją namową, 2 czy 3 lata temu. Był ambasadorem RP w Irlandii i pomyślałam, że należy wykorzystać ten splot szczególnego zbiegu okoliczności: miejsca, poety i tematu. W sumie powstał niezwykle interesujący tekst z zaskakującym zakończeniem i zupełnie innym od tradycyjnego, który jest nam znany. Ale nie mogę zdradzić treści, nim nie zobaczymy „Tristana i Izoldy” na małym ekranie.

- Kto zagrał tytułowe postacie?

- Staram się zawsze pracować z młodymi ludźmi. Często są to jeszcze studenci szkoły teatralnej. Tristana gra młody aktor Teatru Polskiego Tomek Konieczny. Izoldę gra Dominika Ostalowska, która z powodzeniem zagrała główną rolę kobiecą - Infantkę w „Cydzie”. Jej sztukę aktorską cechują dwa bieguny. Z jednej strony wielka delikatność, kruchość, słodycz, a z drugiej, niezwykła siła, upór i determinacja. Potrafi znakomicie grać na tych dwóch biegunach uczuć, tworząc zaskakujące interpretacje. Jest tu jeszcze druga ważna rola kobieca: Brangien. Gra ją studentka szkoły teatralnej, utalentowana dziewczyna z tego samego roku, na którym studiuję moja córka. Dziewczyna jest rudawą blondynką, o delikatnej „irlandzkiej” urodzie i interesującej osobowości. Dzięki niej powstała bardzo piękna i wzruszająca rola.

- Nad czym pani obecnie pracuje?



- Jak wspominałam, przygotowuję sztukę Witkacego „Pannę Tutli-Putli”. Premiera jest zaplanowana na 26 stycznia. Z pomysłem na tę sztukę nosiłam się już od dwóch lat. Chciałam ją przygotować w szczególny sposób, a jednocześnie dać pretekst do zabawy i moim kolegom, i publiczności. Pan Wojciech Borkowski napisał do niej muzykę. Bo tekst Witkacego to właściwie libretto do operetki. Mam nadzieję, że będzie to zabawny spektakl muzyczny.

- Mówiąc o twórczości reżyserkiej i aktorskiej w teatrze i w telewizji, nie wspomnieliśmy o ostatnich pani pracach w filmie. Proszę powiedzieć, dziś już z pewnego dystansu, o „Pestce” - filmie przez panią reżyserowanym i o „Matce swojej matki”, w której grała pani główną rolę...

- „Pestkę” bardzo lubię. Jestem z tego filmu zadowolona i mimo wielu krytycznych głosów, cieszę się, że ten film jest taki, jaki jest.

Co do filmu „Matka swojej matki”, nie przywiązuję tu do niego jakiegoś nadzwyczajnego znaczenia, choć myślę, że nie jest to zły film. Co do mojej roli, to reżyser w montażu zmienił zakończenie filmu (w scenariuszu nie byłam jej matką, to był tylko żart z mojej strony) i to w istotny sposób zmieniło wymowę roli. Gdybym wiedziała, że naprawdę gram matkę, zawałabym się, czy właśnie tak mam grać. Oczywiście to są kulisy naszej

pracy i nikogo to już w kinie nie interesuje. I słusznie.

- Do jakich sztuk teatralnych z pani udziałem jest pani najbardziej przywiązana?

- Mam ogromną satysfakcję z „Kobiety zawiedzionej” według powieści Simone de Beauvoir w reżyserii Magdy Umer. Grałam tę sztukę 140 razy. A nie jest to tekst łatwy, prosty ani śmieszny jak „Shirley Valentine”. Ale i ten spektakl ma już swoją publiczność. Natomiast z przyjemnością gram Shirley, za chwilę już po raz 300! Cały czas, już razem z publicznością, pracuję nad moją Lady Makbet, no i Elwira w „Mężu i żonie”, którą sprawiam chyba radość publiczności.

- A pani plany na przyszłość?

- Właśnie przygotowuję się do roli Marii Callas w sztuce „Masterclass” (kurs mistrzowski), która dwa lata temu została uznana za najlepszy tekst teatralny roku w USA. Próby zacznę już na początku lutego 1997, a premiera będzie w połowie kwietnia. Jeszcze nie wiem kto będzie reżyserował i robił scenografię, kto będzie ze mną grał. Na razie czytam o Marii Callas książkę, oglądam filmy jej poświęcone, słucham jej śpiewu. Chciałam bardzo dokładnie poznać tę kobietę. To niezwykle tekst, wspaniała szansa i nowe wielkie wyzwania. Zobaczymy.

Rozmawiał:  
Antoni LEWANDOWSKI